

# Szymon Kobyliński

---

## Kim był Piotr Gerward?

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (42), 116-130

---

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

złego poinformowania, było znacznie mniejsze. Atmosfera politycznych wydarzeń, z których i dla których komedia wyrasta (a które też zainspirowały nie notowany poprzednio wzrost literatury paszkwilanckiej i pamfletowej), sprawiła, że Niemcewicz nie musiał, jak Krasicki, podpowiadać czytelnikom i widzom sposobów odbioru. Wprost przeciwnie — mógł z czystym sumieniem i zgodnie z prawdą napisać, że wady, a nie osoby „miał na widoku”. Postaci komedii, a ściślej mówiąc, jedna z nich, były o tyle łatwe do odgadnięcia, że mógł to być zarówno Branicki czy ktokolwiek ze stronnictwa starszylacheckiego, jak i pan sąsiad z najbliższego otoczenia.

Przypuśćmy, że bohaterowie Bohomolca, choć w innym zapewne stopniu, pozwalali się łatwo rozszyfrować. Nie należało jednak w tym czasie otwarcie na to pozwalać. Kiedy już sojuszników był legion, sytuacja na tyle się zmieniła, że można było sposób odczytania podpowiadać, a później, pozostając w zgodzie z zasadą bezimienności krytyki, otwarcie go wykorzystywać. Jedynym niebezpieczeństwem w tym momencie wydawało się tylko to, aby ilość owych odgadnięć nie stała się zbyt duża, a tym samym niekonkretna. Niemcewicz nie powinien był jednak się tego obawiać, gdyż, jeżeli tak można powiedzieć, realistyczne tworzywo komedii znajdowało się w kręgu doświadczenia powszechnego.

Czy więc śmiech może być nauką? Może, tym bardziej że zasada określająca satyrę „kunsztu (...) prawe sposoby: występki karać, oszczędzać osoby” nie musiała obowiązywać czytelnika.

*Józef Tomasz Pokrzywniak*

## **Kim był Piotr Gerward?**

Kim był Piotr Gerward dwojga imion Sumieński? Kilkanaście mocno przyżółkłych kartek w teczce na półkach Ossolineum jest zapewne wszystkim, co pozostało po człowieku nader interesującym, po — mówiąc ściśle — młodzieńcu, który mógłby, jak wielu podobnych, stać się postacią znaczącą wiele, znaczącą tyle, na ile zasłużył. Nie tylko pokolenie Baczyńskiego i Gajcego było generacją „strzelania do wroga diamentami”, takimi pokoleniami znaczyliśmy wszystkie niemal epoki naszych ostatnich dziejów; kto wie, może i „młody pan Aksak, lwie pacholę”, poległe przedwcześnie z ręki straszego Pułjana, pisał był coś, kiedyś, o czym słuch zaginął? A kim był, może drugim Kurzawą (także nie dopowiedzianym w sztuce do końca), ów anonimowy rzeźbiarz, którego melancholijny relief dziewczęcej głowy

przetrawił tylko na fotografii z okopów nad Styrem, tylko taki mamy wizerunek płaskorzeźby wykonanej w glinie transzei, między zapomnianymi bitwami.

Nasz bohater, ocalały w garści świstków, urodził się najprawdopodobniej w Sadownem na Podlasiu, gdyż tam właśnie rodzina Sumieńskich herbu Leszczyc („w czerwonym polu bróg o słupach białych, u góry takież bróg wśród piór pawich, w bok obrócony”) miała niewielki mająteczek ziemski, zapewne pasujący do porzekadła, iż „laski, piaski, karaski ma szlachcic podlaski”. Brogi, mówiąc nawiasem, są i teraz typowym elementem tamtejszego pejzażu. Dziwne drugie imię, Gerward, nadano — zapisanemu w księgach parafialnych Sadownego A. D. 1842 — chłopcu na pamiątkę jednego z licznych biskupów, zdołających ród Leszczyców, notabene rozrośnięty w 55 rozmaitych nazwisk, wśród których dwa są bliźniacze: Sumieńskich i Szumieńskich. Tak też, czyli Szumieński podpisywał się ojciec Piotra Gerwarda, weteran — zdaje się — powstania listopadowego, Piotr Zygmunt, mąż pani Zofii z Dziekońskich. Aby wyczerpać kwestie herbowe, dodajmy, że (jak pisze heraldyk <sup>1</sup>) „Leszczyc znak starożytny, a Bielski powiada, że ludzie z tego domu oszczędzali się z szczerą prostoty i gospodarności”.

Szumieński-Sumieński senior nie musiał się ze specjalnej gospodarności oszczędzania, gdyż według świadectwa hipotecznego z roku 1850, już był z rodziną na warszawskim bruku <sup>2</sup>, co nie zwykło oznaczać awansu życiowego w owych, coraz trudniejszych, czasach. Niemniej wolno się domyślać, że syn listopadowego kombatanta, acz wyjechał z rodzinnych okolic ośmiolatkiem, miał jednak do kogo i dokąd powracać, czego pośrednim dowodem wiersz, pisany grubo później — w realiach podlaskiego dworku. Dojdziemy do tego z czasem.

Piotr Gerward w Warszawie dorastał pośród nastrojów jak najtypowszych dla swego środowiska i swoich czasów. To właśnie jemu podobni wierzyli najświęciej — na tyle, tyle lat przed stworzeniem w literaturze wyrazu „chciejstwo”! — w słowa ogłoszone przez manifest Towarzystwa Demokratycznego zimą 1836 r.:

„Jeżeli w ostatniem powstaniu najpotężniejszy nieprzyjaciel ludzkości, w dziesięciomiesięcznej z nami walce wśród tylu błędów, zdrad i niedołężności dowódców naszych żadnem zwycięstwem pochłubić się nie mógł; czemże będą jego zbrojne tłumy wobec wszystkich sił narodowych, miłością Ojczyzny i odwieczną sprawiedliwością wywołanych”.

Czy jednak były to czyste mrzonki? Oto Karol Marks, obserwujący sprawy i z czasowej po trosze, i z geograficznej, a przede wszystkim z intelektualnej odległości — pisał wyraźnie:

<sup>1</sup> Według Niesieckiego.

<sup>2</sup> Drobną nieruchomością przy Freta, 25.764.

„Polska, dzięki stosunkom społecznym, stała się rewolucyjną częścią Rosji, Austrii, Prus. Opozycja jej przeciwko najeźdźcom, była jednocześnie opozycją przeciwko wysokiej arystokracji w samej Polsce. Nawet szlachta, stojąca na gruncie feudalnym, z bezprzykładnym poświęceniem przyłączyła się do rewolucji agrarnej<sup>3</sup>. Polska była już ogniskiem demokracji europejskiej, kiedy Niemcy błąkały się jeszcze omackiem po manowcach najpiętszej ideologii konstytucjonalistycznej i najgórnolotniejszej ideologii filozoficznej. Na tym, a nie na świetlanym rozwoju dawno pogrzebanego rycerstwa, polega gwarancja, polega nieunikniona konieczność odbudowania Polski” (cytat eksponowany przez W. Gumplowicza w jego *Socjalizmie i sprawie polskiej*).

Posępny rzecznik arystokratycznych skrajności, margrabia Wielopolski, jakby na potwierdzenie tych słów, ich zilustrowanie — układa swój osławiony (zwłaszcza na polskiej emigracji) *List szlachcica polskiego do księcia Metternicha*, gdzie z oburzeniem czytali młodzi patrioci:

„Nadchodzi nowa, nieznana przyszłość, musimy się na coś zdecydować... Zamiast wyniszczać się zebraniną na zachodzie, możemy stworzyć sobie przyszłość w przeciwnej stronie i wejść w skład potężnego mocarstwa. Nie potrafiłiśmy żyć jako państwo, możemy los świetny zgotować sobie, jako członkowie olbrzymiego plemienia słowiańskiego! Dogodniej szlachcie polskiej stanąć wraz z rosyjską na czele nowej potężnej i przyszłość mającej cywilizacji słowiańskiej, niż wlec się wśród szturchańców, pogardy i politowania w ognie cywilizacji Zachodu (...)”.

Nie głosił tego margrabia Aleksander w samotności i próżni. Oto przyjaciel Mickiewiczów i Zanów, Ignacy Chodźko, tak pisał z okazji przyjazdu do Wilna imperatora, cara Aleksandra II: „Są chwile w życiu narodów tak ważne, tak głębokiego na los ich i odległą przyszłość ich wpływu, tak potężne w skutkach, a tak w porę objawiające się, że je na kartę z naszego przeznaczenia wyjętą i w trudnych zadaniach słabemu rozumowi ludzkiemu daną, uważać należy. Taką chwilą od Boga dla Litwy zesłaną, jest bezwarunkowo obecna! Przybycie Najjaśniejszego Monarchy ją zwiastuje!”, a wtórował inny filareta, z tej samej okazji, Edward Odyniec:

A wy, duchy Jagiellonów  
Spójrzcie na nas z wysokości,  
Oto dziedzic waszych tronów,  
Waszych myśli i miłości,  
Ojciec ludów, pan narodów,  
Wchodzi w progi waszych grodów  
Przyjąc dzięki milionów... itp.

<sup>3</sup> Patrz aneks I.

I wreszcie — co trzeba sobie uprzytomnić — monumentalna modlitwa Felińskiego, *Boże coś Polskę*, niosła także pod carskim adresem słowa „naszego króla zachowaj nam, Panie!”.

Inne, tak powszechnie znane, że aż niemożliwe inaczej do wyobrażenia słowa tej strofy, zjawily się dopiero w 1860 r., w bardzo konkretnym czasie i miejscu, przy bardzo wyrazistej okazji. Okazją tą był — uznany za pierwszą zapowiedź powstania styczniowego — manifestacyjny pogrzeb wdowy po bohaterze z Woli, pogrzeb generałowej Sowińskiej. Tu właśnie wracamy, sięgnawszy między zetałe karteluski naszej teczki, wracamy do postaci, którą biejący szkic rekomenduje, do Sumieńskiego. Jeden z monografów Zrywu mówi o tej czerwcowej demonstracji m. in.: „Zamiar udał się wybornie, pogrzeb odbył się imponująco, a podczas niego rozdawano rzemieślnikom obrazki patriotyczne i wydrukowane wiersze rewolucyjne (...)” (J. Grabiec: *Rok 1863*. Poznań 1913 nakł. Z. Rzepeckiego, s. 50). Mamy w dłoni rękopis, brak danych, czy ukazał się ów tekst — pośród innych „wierszy rewolucyjnych” — drukiem. Innymi słowy, czy twór młodzieńczy, osiemnastolatka Sumieńskiego, był zarazem jego publicznym debiutem? Któż na to odpowie?

Rzecz jest zresztą typowo młodzieńcza w formie i nieporadności wersyfikacji czy skojarzeń, wszakże — pozwolę sobie zwrócić na to uwagę — pomysł dwuznaczności nazwy dzielnicy, jej dubeltowej treści, zdradza już pewien „lwi pazur” przyszłego poety. Zresztą czytamy:

#### **Na pogrzeb generałowej**

Nad tę trumnę, nad te mary,  
Które dziś stawily fata,  
Werbel dawny, hejnał stary  
Wróci echem dawne lata!  
Niech Jej grób dziś wrogi straszny —  
Żony Bohatera z Woli,  
Bowiem dzisiaj z woli naszéj  
Czas przecinać to co boli!  
Przeciąć szablą, co wypadła  
Z Męża Jej wystygłej ręki  
I nam wzorzec tego stadła  
Dopomoże skrócić męki!

Właśnie to wtedy, właśnie z „werblem dawnym, hejnałem starym” zabrzmiały odmienione słowa w serwilistycznym hymnie Felińskiego, wówczas bowiem zaśpiewano po raz pierwszy u trumny generałowej:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:  
Ojczyznę, wolność racz powrócić Panie!

Zaczyna się zatem, od trzech strofek funeralnych, ukazywać nasz Piotr Gerward. Zapewne — na co niestety dowodów rzeczowych brak dotkliwy — tworzył więcej, podsycał po swojemu ogień „Przedburzowców”, mający niebawem przynieść rozkazy ówczesnej „godziny W”. W dużo późniejszej korespondencji Narczyży Żmichowskiej-Gabryelli, w liście do Wandy z Grabowskich-Zeleńskiej, z późnych lat sześćdziesiątych, czytamy — bez wątpienia o naszym bohaterze:

Chociaż w Warszawie liche od lat całych mamy piśmiennictwo, przez co nieraz zdaje mi się, żem czytać zapomniała, wszakże jeden tu był człowiek, któremu może i przeciwna rozumem jestem, ale czuję sercem jego słowa. To, znany Ci może, młody Piotr o nazwisku z sumienia się wiodącym, istotnie sumienia nasze strofami swemi poruszać umiejący (...)

Zarazem w zapiskach dra Tytusa Chałubińskiego miga przelotnie ta sama postać, króciutką wzmianką: „Znowum próbował pomóc temu chłopcu, którego nie tylko piersiowa gorączka, ale i gorączka marzycielska trawi, Piotrowi Sum., któren i wiersze pisze i do czynu się, mizerak, chce gotować, choć mu stos pacierzowy przecież żadnego większego nie podźwignie ciężaru (...)”. Jeśli można się domyślać, musiał młody poeta cierpieć na skoliozę, niezależnie od „piersiowej gorączki”, choroby, która go zresztą w wieku ledwie trzydziestu lat zabiła. Dosyć specyficzne epitafium z tegoż właśnie, ostatniego roku jego życia natrafia się w dorobku... Deotymy. Łącząc w całość słowa „wieszczki salonów” z notatą Chałubińskiego — a także, o czym potem — z kompleksem kalectwa Sumieńskiego, wolno sądzić, iż o nim poetessa powiada:

Zbyt ci wątle Bóg dał ciało,  
Abyś z mieczem szedł na boje,  
Lecz tyś Piotrze umiał śmiało  
Swę ułomność nieść jak zbroję!

Pani Łuszczewska, być może, improwizowała była swoim zwyczajem także na temat, hm, młodszego kolegi — tego się już wszakże nigdy nie dowiemy. Zresztą w życiorysie — tak ogólnym, jak artystycznym — Sumieńskiego przychodzi nam kontentować się wyjątkowo nikłą dokumentacją, aczkolwiek (jak widać z już podanych cytatów) był to człowiek nieobcy eksponowanym naówczas postaciom Warszawy. Zbyt jednak, sądzę, nikły, zbyt łatwy do przeoczenia w salonach czy na zebraniach, uchodzi Piotr Gerward uwadze kronikarzy, a jeśli się o nim mówiło, prawdopodobnie kwitowano osobę zdawkowym „ach, ten biedny Piotrus”.

Sądząc po, jeśli tak sprawę wolno określać, tematyczne wierszy ocalałych w teczce Ossolineum — z czego tu dają tylko sześć cytacji — poza utworem młodzieńczym *Na pogrzeb Jenerałowej*, mamy do czynienia z rzeczami powstałymi grubo później. Datowałbym

je, niestety tylko z pomocą intuicji, na czas trwania walk powstańczych i — być może — na lata tuż po klęsce. Pisałby je zatem człowiek w wieku od 21 do 25—26 lat.

I w tym punkcie dochodzimy do cechy, którą pozwoliłem sobie nazwać „kompleksem ułomności”, czego niewątpliwie refleksem jest wierszyk Deotymy. Zjawisko znane nie tylko z życiorysu (o ile to jest życiorys) Sumieńskiego, ale po swojemu — śmiem powiedzieć — modne owymi laty. Mamy tego echa, mamy nawet wyraźne aluzje w epistolografii Chopina, po swojemu też u Słowackiego, a z całą wyrazistością artystyczną u duchowego brata Sumieńskiego, u Artura Grottgera. Zwłaszcza Grottger, który swoją niemoc fizyczną rekompensował ustawicznym przydawaniem własnych rysów, własnej figury osobom rysowanych bojowników, Grottger stanowi przykład szczególnie bliski poecie. Oto idący o kulach żołnierz powstania — autoportret. Oto walczący *W obronie sztandaru* — znów autoportret chorego na emigracji rysownika.

Nie tylko zresztą dosłowność uczestniczenia duchem w zbrojnym czynie gra tutaj rolę, idzie o sprawę stokroć ważniejszą i zarazem dużo rozleglejszą w czasie, w sztuce. Mianowicie o uczestnictwo twórczością, o wspomaganie działań wysiłkiem artystycznym. Jeżeli zastosowałem wyraz „modne”, usprawiedliwia mnie sposób ówczesnego odczuwania dzieł takich właśnie, jak Szopenowskie, Grottgerowskie czy — niech mi będzie wolno i te dołączyć — wierszy Sumieńskiego. Sloganowy, po stokroć powtarzany zwrot „armaty w kwiatach”, nadany przecież przez słuchaczy muzyki Chopina, albo — także *ex post* wymyślony — tytuł *Etudy rewolucyjnej* są jednym z mnóstwa dowodów na wysuniętą tezę. Nie żadna to nowość, czymże w końcu była *Marsylianka*, jeśli nie dodatkowym, jakże skutecznym, orężem idących na wezwanie „do broni, obywatele”? I poniżej hymnu, w przelotnych *Ca ira* rozmaitych epok i przewrotów godność i ważkość strof, słów, obrazów czy pomników stanowiła walną i rzeczową pomoc dla walczących.

Dlatego właśnie nasz Piotr mówi tak stanowczo:

A cóż rycerzom poeci przydali,  
Pytasz, więc spojrzysz na tej szabli głównię,  
Zobaczysz hasło wyryte po stali,  
I któż je złożył, by siekło wymownie?

Nie wiem, nie potrafię powiedzieć, choć chciałbym znać wyraźną odpowiedź: czy, bodaj z lektury, znali się wzajemnie Sumieński i Norwid? Wysypka wpływołogii, nękająca wszelkie chyba dziedziny badawcze sztuki, daje o sobie znać przy każdej okazji. Tak i tutaj dość śmiało zestawienie, zwrot „siekło wymownie”, kusi, by odszukać źródła skojarzeniowej odwagi autora w bezpardonowości

werbalnej Cypriana Kamila Wielkiego... Tym bardziej, iż nie jest to przypadek w twórczości („Twórczość”! Tych parę zachowanych kartek...) młodego Piotra, cenionego przez tyle wątpiącą Gabryellę, jedyny.

Przypatrzmy się bowiem trzem innym strofkom, najpewniej wyrwanym z większej całości, na co wskazywałby gatunek papieru odmienny niż pozostałe ćwiartki i — być może przypadkowy, ale kto wie, czy nie znaczący — numer 2 w prawym górnym rogu stroniczki. Oto jej zawartość:

Słońce się znowu żegna z widnokregiem,  
Nad las — miedziany wypływa pieniążek,  
Czas już zamykać rozłożoną księgę,  
Czas gasić świece, nim się dzień wywiąże.  
Nocą kandełe dobywały z cienia  
Wydrukowane wołania i krzyki,  
Za dnia — już tylko są śladem wspomnienia,  
Jak żółte listki, jak szklane promyki.  
Tak modły nasze i szeptu gorące,  
Zdają się żywe przy wątlm płomyku,  
Lecz kiedy wstanie pełne, wielkie słońce,  
Czy je usłyszysz w ogromnym okrzyku?

Mimo wszelkie zniechęcające doświadczenia z poszukiwaniem paraleli literackich u autorów, którzy — bywało po lepszym sprawdzeniu — nigdy o sobie zgoła nie słyszeli, mimo wszystko ulegam wrażeniu, iż są jakieś „dymy” piotrowych świec (a może *vice versa*?) w pieśni XLV, pt. *Cnót — oblicze*, zawartej na kartkach Norwidowskiego *Vademecum*:

Kiedy zaś uśnie jakie społeczeństwo  
Organem, *który całość uczuć dawa*  
I niewidzialne nastanie męczeństwo  
Tego, co czuwa, lub co raniej wstawa —  
I oziębi się wszelkie pokrewieństwo,  
Choć w okna jasność już zamży bladawa.  
Sen, jeszcze radzi stałe bezpieczeństwo  
I szeptu jeszcze, że płonną obawa —  
Choć czujność? stanie się rzemiosłem stróżów

Skoro już uległem jednej pokusie, nie oprę się następnej, aby mianowicie powrócić do — na łamach *Kultury* przed paru laty przeze mnie poruszanej — kwestii artykulacyjnej. To tak przy okazji, która się nasunęła nieodparcie. Otóż wynotowawszy kiedyś z *Pana Tadeusza* komplet słów z „się” (a więc wszystkie „kochajmy się”, „wydarłszy się” i inne „przelekła się”) — wykazałem, że idąc za konsekwentnie rytmiczną melodią recytacji, należy za każdym razem akcentować sylabę przed „się”. A więc „przelekŁA się”,



„wydarłSZY się” itd. Nie tylko zresztą stopa metryczna zmusza do tej właśnie praktyki, ale również logika rymu: raz po raz, kiedy np. w ósmej księdze Protazy woła, kończąc swą perorę:

...Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie,  
A tymczasem ogłaszam: Bracia, uciszcie się.

Identyczna sytuacja istnieje także w przytoczonej strofie Norwida, gdzie jedenastozgłoskowiec biegnie potoczyście wyraźnym pulso-  
waniem, każąc zdecydowanie dać nacisk na „ozięBI się”, inaczej w muzykę deklamowania włamie się jawny kiks, zwichnięcie tętna. A iluż to poetów przyznawało, że zwykli podczas tworzenia — czasem nawet wręcz pełnym głosem — mówić to, co piszą. Słonimski, notabene zawsze podkreślając za Boyem niejaką wstydlivość procesu wierszowania, zdradził kiedyś i to, że potrafi przytupywać do taktu biegnącym wyrazom.

Wróćmy po dygresji do Piotra Gerwarda.

Wspomniałem o jego bytności podczas powstania w wiejskim, zapewne sąsiadów (skoro nie było już ganku z Leszczycem u wejścia) dworku. Mówiąc szczerze — wynika mi ten wniosek raczej z nastroju, jakże bliskiego Grottgerowskiej kompozycji *Obrona dworu*, niż z rzeczowych danych. Dwa bowiem fragmenty wierszy ukazują scenerię właściwą takim właśnie okolicznościom: tam, gdzie mowa o szarpjach i o szukaniu czegoś w lesie, „w borze”, jak czytamy. Darcie szarpi na opatrunki, atrybut wszelkich *Wiernych rzek*, to domena panien, pań — słowem całej kobiecej załogi każdego szlacheckiego domostwa, rola „Salomei”.

Tu następuje strofa Sumieńskiego z wiersza *Czy tylko matka?*:

Nocą trwożną nad szarpjami  
Oczy chylił w dłoń skuloną  
Ty, co rośniesz ponad nami,  
Ty, coś — Grakcha narzeczoną

Gdzie mógł ją widzieć, dziewczynę, która oddała walce miłego? Zaczynam się wzruszać, gdy należy chłodno prześledzić realia. Nikłym śladem mogą tu być trzy literki, „Brz”, widniejące przy autografie cytowanej strofki. Tędy próbuję dotrzeć na Podlasie. Mocno tam była zakorzeniona przedpowstaniowa konspiracja, prowadzona także rozliczne, acz często rozproszone po całym niemal terenie, walki. Według planu Lewandowskiego, komendanta na tych ziemiach, należało zawładnąć szosą brzeską przez zdobycie Siedlec, Łukowa, Międzyrzecza i Białej Podlaskiej, a także zajęcie Radzyń-  
nia, jako miasta powiatowego i ważnego węzła komunikacyjnego, oraz Łomaz i Kodnia, leżących na połączeniu Brześcia Litewskiego z Lublinem. Wszakże i w bok, ku zachodowi od tej osi głównej, dzięki ogromnym — i jednocześnie gęsto przez zaścianki, dworki obsadzonym — kompleksom leśnym w stronę Puszczy Białej,

utarczki poszczególnych oddziałów, ciągnących w stronę sił Lewandowskiego, ks. Brzóska, Krysińskiego i zwłaszcza Rogińskiego (który miał zdobywać Białą), starcia zdarzały się w miejscach rozmaitych. Również dość daleko od głównego ogniska podlaskich bojów, czyli — wobec nieudanego ataku na Siedlce i odskoczeniu na pobliski Stok Lacki — także w okolicach rodzinnych poety, bliżej Sadownego, Borku, Łochowa. Tam właśnie rozciąga się spora wieś Brzuza, opodal której do dziś jeszcze widnieją ślady niegdyśszego dworu. Byłyby więc literki „Brz” kryptonimem Brzuzy? Nie jest to wykluczone<sup>4</sup>.

Wieś leży pośród gęstych lasów. Na ich tle widzę zatem scenę opisaną na innej kartce, na rozdartym kawałku papieru, gdzie tekst jest częściowo przekreślony aż do nieczytelności. Poniższy czterowiersz miał być, jak przypuszczam, początkiem większej całości, gdyż linijki, z których autor zrezygnował, znajdują się u dołu dostępnego nam fragmentu, a zatem — sądzę — musiały dalej następować kolejne obrazy, kolejne opowieści. Nie poznamy ich, zostały tylko słowa:

Ciszej, tu płacz twój, bracie, nie pomoże,  
Spróbuj wzrok podnieść, odezwać się twardo,  
By opowiedzieć, jak znalazłeś w borze  
Konfederatkę tę z krwawą kokardą — —

Nerwowe wykreślanie dalszych wersów, wyraźna niecierpliwa bezradność w znalezieniu przez — dojrzałego już przecież — poetę słów, które uniosłyby właściwe treści, szukanie sposobu na „odezwanie się twardo” — znów każą przypomnieć sobie o innym wierszu Norwida, z tegoż *Vademecum* wziętym:

Spiewajcież, w chór zebrani — —  
Ja, zmięszając mógłbym śpiew  
Triumfującej litanii,  
Ja'm widział krew!

(Tu, niepoprawny dygresjonista, nie umiem się powstrzymać od uwagi dotyczącej zaskakującego apostrofu „ja'm”. Czy w gruncie rzeczy nie należałoby żałować, że się nie stosuje takich właśnie zabiegów w piśmie? Czynią one — zwłaszcza u Norwida, wirtuoza interpunkcji, pojętej wręcz muzycznie, niby partytura — z wiersza utwór o wyraźnie rozpisanych nutach. Przyjrzyjmy się... przecinkowi — uczono nas już w szkole, iż służy on podkreślaniu, gdzie trzeba „zawiesić głos”. A zatem przed „że”, przed tym, owym, dziesiątym, wiadomo. Tak, lecz poeta potrafi gospodarować znakami przestankowymi inaczej i kiedy mówi „ja, zmięszając mógłbym

<sup>4</sup> Według przewodników PTTK w Kamieńczyku nad Bugiem, opodal Brzuzy, do dziś znajduje sięznaczony grób powstańców 1863 r.

śpiew”, stawia przecinek w miejscu zupełnie przeczącym regule<sup>5</sup>, natomiast każe właśnie zawiesić głos, każe *deklamującemu* zrobić pauzę, jak gdyby następowała chwila zastanowienia, moment niepewności, co też *ja* uczynię wśród chóralnego śpiewu. Podkreślam *deklamowanie*, nie bójmy się tego niby wyświechtanego, staroświeckiego słowa, pozornie rodem z dulskiego saloniku, gdy się mawiało „Florciu, zadeklamuj panu wierszyk”. Już kwestia poprzednich „kochajmy się”, na których potyka się niemal każdy współczesny aktor, gdy mu przyjdzie wygłosić tekst *Pana Tadeusza* i wiele innych dawnych strof, już ta kwestia wskazuje na rosnące niebezpieczeństwo *głuchych* poezji. Pisanych, nie mówionych, a więc o następny milowy krok dalej od źródeł, czyli od greki i łaciny. Horacy pisze w swojej odzie „*exegi monumentum*”, a trzeba to wygłaszać bez końcówki *um*, trzeba *exegi* akcentować na początku i na końcu słowa, następnie zaś przycisnąć na sylabie *ment*... Ba, a Rzymianie dodawali jeszcze odmienne wysokości tonu. To był bardzo skomplikowany śpiew, i to był bardzo płodny literacko, poetycko śpiew, skoro do dziś uczymy się, do dziś chłonimy nasze „Skąd Litwini wracali”... Toteż artykulacja mówienia, wygłaszania, deklamowania właśnie wierszy, bez względu na to, czy napisał je Mickiewicz, Leśmian, Przybós lub Szymborska, jest, a raczej powinna być nauką szczególnie ważną, gdyż przedłużającą rytm, jakim kultura pulsuje od wieków. Tyle miałbym do dygresjonowania z powodu dwu malutkich przecineczków Norwida...).

Powróćmy do konfederatki z krwawą kokardą. Rozumieć nam wolno, już to z Deotymy, już to z zachowanych okrucichów twórczości samego Sumieńskiego, że udziału fizycznego w walkach brać nie mógł. Jego, jak nazwałem wcześniej, grottgerowskie dołączenie własnej sztuki do realnego czynu, do działania rodaków w polu bitwy, wydaje się wyjątkowo ściśle pasować do tego nurtu poezji, plastyki, muzyki, o jakim już mówiłem: do nurtu muz nie milczących *inter arma*.

Ktoś zauważył słusznie, bodaj podczas telewizyjnej dyskusji wokół postaci naszej historii, że nie Stanisław August, jak każe powtarzać stereotyp szkolny, lecz Sasi byli tymi, którzy Polskę oddali osiemnastowiecznym targom i Targowicom. Poniatowski przeciwnie, on stworzył, wbrew pozorom, tę największą siłę, która pozwoliła nam powrócić do — pogrzebanej saskimi intrygami — Polski, dał mianowicie podwaliny pod całą „kulturę przetrwania narodowego”. Pod jego to berłem, ba, wręcz wedle zamówienia monarszego, powstaje utwór na kształt hymnu i jako taki, a przynajmniej jako katechizm patriotyczny, zalecany jest przez władzę światłym elewom królewskich szkół. Powstaje IX pieśń *Myszeidy* Krasickiego:

<sup>5</sup> Nie wolno kłaść przecinka między podmiotem a orzeczeniem.

Święta miłości kochanej ojczyzny,  
 Czują cię tylko umysły pocziwie!  
 Dla ciebie zjadł smakuja trucizny,  
 Dla ciebie więzy, pęta niezelywe!  
 Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,  
 Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe,  
 Byle cię można wspomóc, byle wspierać,  
 Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

Przytoczyłem w całości ten, pozornie doskonale znany i do znużenia wykuwany w szkole fragment, przytoczyłem po to, aby w nim, zwłaszcza w drugim czterowierszu, odczytać swoisty program dla całych zastępów przyszłych poetów, myślicieli, działaczy. „Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe...” — zapowiada Lelewela, i Nałkowskiego, Mochnackiego i Prusa; „nie żal żyć w nędzy” — mówi wieszcz o epoce Sułkowskich i ich szeregach obdartych pod Mantuą i na San Domingo, mówi o księdzu Ściegiennym, o Judymie... W inspiracji Stanisława Augusta, by rzec tonem ówczesnym, krył się zaród siły przyszłej, „tej — co nie zginęła” i tej, która przeniosła w pieśni i powieści zasadnicze wartości, podsycające wolę powstań i wolę przetrwania. Nie darmo określamy ów okres jako dobę oświecenia, czas wychowywania Kościuszki, Niemcewicza z jego *Śpiewami* i czas stworzenia orderu *Virtuti Militari*. Czas gromadzenia energii, dzięki której przeżyliśmy jako całość, jako świadome społeczeństwo. Energii intelektualnej, energii sztuki, a więc energii działania realnego, gdy nadeszła chwila właściwa.

O to właśnie, gdy przygasły siły serc i umysłów, wołał — że znowu doń wrócę — tenże Norwid, gdy pisał gorzkie słowa:

„(...) powiem, że poezja polska, *wedle mojego uważania* znajduje się w krytycznej chwili. Wielcy i sławni poprzednicy moi zaiste, że, jeżeli niewięcej niż mogli, to dopełnili wszystkiego co kolwiek można było. Wszelako: szkoła ta cechująca się rozjaśnieniem i wyrokowaniem o szerokich historycznych sytuacjach lub o *prawach narodu*, nie miała zapewne dosyć czasu aby w utworach jej strona *obowiązków*, strona *moralna*, znaczne zajmowała miejsce...”  
 (Do czytelnika, *Vademecum*).

Ciekawe — co też można uczynić ze słowami! Jakże to odmienne rzeczy znaczą one pod piórem Norwida, a jak inaczej — nawet bez gruntownych zmian ich toku — brzmią w dziesiątki lat potem, kiedy to komenderowano sztuką, kiedy sztuce również (wedle aktualnego rozdzielnika zajęć) stawiano do posłusznego wykonania Obowiązek, kazano jej dbać o Stronę Moralną, i o jeszcze kilka spraw przy okazji. Tymczasem jednak, skoro krążymy wokół tematu „Sumieński”, jesteśmy głęboko w ubiegłym stuleciu. I widzimy, że jeszcze jedna cecha łączy twórców „etapu drogowska-

zowego” z naszym dawnym bohaterem, a mianowicie — już podkreślone wcześniej — odczucie dość ambiwalentne, odczucie własnej wartości i jednocześnie pewien kompleks niższości artysty wobec konkretnych wydarzeń serio. Ongiś — wobec leśnych wojowników Grottgerowskiej *Polonii* i *Lituanii*, a potem — wobec herosów fizycznej pracy. Ileż tej rozterce poświęcił gromkich słów bard trudu i postępu, Broniewski, zwierając problem w okrzyk: „wiersz mój gniewny — broń szybkostrzelna!” — I jak bardzo „piersz cheralawą wyteżał” delikatny, subtelny tancerz *Valse brillante*, jakże mu się rojiło, że „będziesz miała siłacza i huzara za męża”, że:

Towarzysze wspólnej doli,  
Robotnicy dobrej woli,  
Budujemy wspólny dom  
W maju, który nas zespolił.  
Budujemy twierdzą twierdz,  
*My*, roboczych rąk miliony

. . . . .  
(Tuwim, 1950 r.)

Dołączał tu wówczas i autor *Satyry na bożą krówkę*, chociażby wtedy, gdy pisał utwór *Słuchając Symfonii Pokoju Andrzeja Panufnika*:

. . . . .  
Potem koncert umilkł, wieczór popłynął szerzej,  
Wszeszła pełnia nad puszcza sosnową.  
I spojrzeliśmy z żoną wesoło i surowo,  
tak jak patrzą na siebie żołnierze.

(Konstanty Ildefons Gałczyński, 1951 r.)

Z tej samej niemal materii wrażeń, z dumy i zawstydzienia sobą, zadziorności pełnej smutku — wywodzi się spowiedź korna, a jednocześnie wyzwanie, wiersz Piotra Gerwarda:

Dłonią, co nie wie, jak się sunąć w gardę  
I jak się patron do sztucera kinie,  
Potrafię przecież słowa złożyć harde  
W strofę, co przetrwa, gdy żelazo zginie.  
Dlatego, bracie silniejszy ode mnie,  
Weź i ten wiersz mój w twoje patrontasze,  
Bo gdy w nich kuli poszukasz daremnie,  
Słowa dotrwają, przejmą życie nasze — —

Innymi słowy — „pieśń ujdzie cało!”  
„Obowiązek”, „prawa moralne”, inaczej: posłannictwo sztuki. Ileż sobie obiecywała poezja polska po chwili, która przynosząc wolność zdejmie zarazem z ramion artystów rynecznik bojowy. Będą mogli tylko śpiewać, dostawszy urlop po bez mała dwuwiekowej służbie, apostrofą „Święta miłości” zaczętej. Nie trzeba będzie już składać

śpiewów historycznych jak Niemcewicz, budzić sumień, wygłaszać polskich tyrad po wszystkich Mont-Blanc'ach świata. Jedynym złoczyńcą będzie tylko „Skrzydlaty Złoczyńca”, demiurg najczystszej, swobodnej poezji.

Myślę, że Sumieński, który przemknął po polskim firmamencie jak drobny, niemal nie zauważony meteor, umiałby znaleźć się także w tej drugiej poetyckiej roli, w roli łowcy dziwnych słów i elektryzujących skojarzeń sensualistycznych. Czasem by mignęło w jego strofach coś, co świadczyłoby o podskórnym nurcie myślenia czysto obrazowego, czysto wrażeniowego, coś z dziedziny *Śtopiewni* i *Alchemii słowa* zarazem. Myślę konkretnie o dwu linijkach w znanym już czytelnikowi utworze:

Słońce się znowu żegna z widnokrzem,  
Nad las — miedziany wypływa pieniążek.

Tu jest to, co trywialni profesjonalści nazywają czasem „rybką” w znaczeniu szczególnie chytrego pomysłu formalno-treściowego. Idzie mi o zobaczenie wschodu słońca jako pożegnania, gdy zawsze niemal, odruchowo i szablonowo poniekąd, moment ten wiążemy z powitaniem, ze zjawieniem się czegoś, nigdy z rozstaniem. A jednak miedziany pieniążek pożegnał się z horyzontem, który powita dopiero o zachodzie. Pomysłowe odwrócenie nawyku myślowego, czyż w końcu nie na tym właśnie — i to przy zachowaniu pełnej wewnętrznej logiki zjawiska — zasadza się odkrywcość poezji? To tylko najwięksi arcymistrze warsztatu umieli godzić obie role poety, Słowacki potrafił w krystalicznie czystej formie słownych niespodzianek przekazać to, czego wymagała epoka:

Pierwsza kibitko ruska! gdy w okręcie  
Polskim już zapach strupiały poczuto,  
Ty pokazałaś się w śniegu zamęcie  
Jako ludożer pierwszy za tą szkutą  
Płynący... Inne ryby mają cięcie  
Lub paszczę na miecz srebrzysty przekutą<sup>6</sup>  
I pod wodami są okrętom piłą,  
A potem ludzi pożartych moglią;

(*Bentowski, pieśń VI C*)

Mój Boże, — jak kiedyś westchnął Boy — któż się ostanie, kiedy go palniemy w łeb Mickiewiczem! — tak jak tu palnałem Słowackim naszego „biednego Piotrusia”. Oczywiście, regiony to inne, i też nie na podobnych wyżynach rozpatrywać możemy meteoryczny błysk zapoznanego, w paru ledwie karteluszkach ocalałego poety najtrudniejszych czasów. We własnym, z tyłu konieczności wąziutkim zakresie, był on jednak — jak wolno sądzić ze słów Cha-

<sup>6</sup> Patrz aneks II.

łubińskiego, Deotymy i Gabryelli — kimś po swojemu wyrazistym i po swojemu wartościowym.

sierpień 1978 r.

Szymon Kobylński

### Aneks I

Zadziwiająco zbieżne z opinią Karola Marksa są słowa Zygmunta Glogera, zwłaszcza gdy domyślamy się, iż jeden pism drugiego raczej nie studiował — słowa z hasła „Szlachta” w *Encyklopedii staropolskiej* (tom 4, s. 327, szp. II i n.):

„Nie było bowiem jeszcze przykładu w dziejach Europy, by kiedykolwiek stan uprzywilejowany, rządzący, nie zmuszony do tego ani przez inne stany, ani siłą, wyrzekł się dobrowolnie swych przywilejów, jak to uczyniła szlachta polska na sejmie wielkim w r. 1791. Była to rewolucja jedyna w historii, bezkrwawa, najszlachetniejsza, zaszczyt najwyższy szczepowi słowiańskiemu przynosząca”.

Markś zresztą ma na myśli świeże posunięcia czerwonych w czasie powstania styczniowego, gdy Gloger sięga głębiej wstecz, ku Konstytucji Majowej — niemniej obie wypowiedzi mają tenor niemal identyczny.

### Aneks II

Nie tylko w przytoczonym tu fragmencie *Beniowskiego*, ale i wśród wielu innych strof tego poematu — jak zresztą dość powszechnie tamtymi czasy — potwierdza się moja uparta teza o transakcentacji, koniecznej deklamatorowi, by recytacja upłynęła potoczycie:

Konkretnie: — średniówka prosi o wymawianie

„Lub paszczę NAmiecz srebrzysty przekutą”

Powstaje coś w rodzaju specjalnego wyrazu z akcentem na początku, słowo NAmiecz. Byłoby kwestią wnikliwych i nader trudnych badań, ile to mianowicie wpływu ma lokalna (u Mickiewicza nadniemeńska, u Słowackiego naikwiańska) tradycja artykulacyjna, „z mlekiem matki wyssana”. *A propos* i zupełnie nie na temat — jakże istotną postacią jest nam *maman Bècu*, a jak bardzo *nic* nie wiemy o rodzicielce Adama. I jakże tu nie włączać osobistych i intymnych skłonności do kulturoznawstwa narodowego... *Ad rem*. W Polsce centralnej, ani wiedząc, czemu, akcentujemy odruchowo „NAwsi”, „DOWsi”, lecz już „przy WSI”; tak nawyk reguluje melodykę mowy. Kiedyś, w przyszłości jakiś badacz przeprowadzi analizę zjawiska już dziś wyraźnego a wynikłego z nie przemyślanej do końca reformy pisowni sprzed wojny. Oto starsi, rymując Danię, rymowaliby np. tak:

Wyskoczyłem wtędy z sań ja

i krzyknąłem, *vivat* Dania.

— podczas gdy nasze dziecko bez mrugnięcia okiem zrymuje:

Rzekła Zosia raz do Frania:

nie masz to jak piękna Dania.

Tak samo jest z piwonią, która dla leciwszych brzmi jak „koń ja” „piwon-  
nia”, zaś dla młodzi „do ustronia” i „piwonnia” ...Itp.

Jeśli zaś idzie o zagadki melodyczne Słowackiego, bardzo groźną ustawił  
m. in. w scenie IV, w wierszach 485—490 *Zawiszy Czarnego*:

Na ukraińskim polu czystym zamek stoi,  
Czasami tylko orły cień na pole rzuca,  
Albo też stary kurhan, z czasów dawnej Troi,  
*Wróżką jest dawnych druhów, że znowu wróca,*  
I odmieni się tylko powietrze i scena,  
A mniej piękną... nie wstanie z grobowca Helena.

Dla płynności trzynastozgłoskowca aż się prosi o wstawienie „się”, czyli  
„że znowu się wróca” albo „że się znowu wróca”, i kto wie, może tylko  
ferwor rękopisania spowodował brak tego wyrazu? Mógłby on wszakże źle  
zabrzmieć, skoro tuż potem mamy „odmieni się”, byłoby za gęsto siękania;  
jednakże, bo ja wiem? jakieś „tu wróca” czy też „powróca” ratowałyby rytm  
wiersza. Dlaczego brak koniecznej głoski?...

A swoją drogą chciałbym usłyszeć, jak sobie z tym radzą wytrawni aktorzy  
starej daty, jakie tam daliby przydechy i wyczynili sztuczki, aby ratować  
muzykę recytacji?

S. K.

### Wędrowki młodego Lukácsa (od Simmla do Lenina)

1. Wedle Lukácsa sztuka jest zjawiskiem tak doniosłym, ufundowanym na ontologicznej relacji między rzeczywistością wziętą *en globe* a rzeczywistością ludzką, że analiza estetyczna musi być zorientowana filozoficznie. Ponadto sztuka może i powinna być instrumentem samowiedzy, stawiającej aktywny opór gołej faktyczności, oraz jednym z głównych przejawów walki o przeobrażenie świata, a zatem refleksja estetyczna implikuje bezpośrednio dociekania polityczne. Tak więc nie sposób pojąć koncepcji estetycznej Lukácsa bez rozpatrzenia jego poglądów filozoficznych i politycznych, notabene nie dających się oddzielić. Nie jest tak, że Lukács najpierw zbudował system filozoficzny, na nim z kolei oparł teorię polityczną, a z obu tych elementów wprowadził w końcu swoją koncepcję estetyczną. Wszystkie trzy składniki jego światopoglądu rozwijały się równolegle i zmieniały się w zależności od kontekstu społeczno-historycznego. Niemniej filozofia stanowiła w jego światopoglądzie centralny układ odniesienia, a od lat dwudziestych, kiedy stał się marksistą, była to filozofia upolityczniona.